

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Władysław Besterman
Jan Lechoń
Irena Lorentowicz
Halina Majewska
Jerzy Tępa

Vol. 2 Nr. 15(67)

Nowy Jork, 9 kwietnia — New York, 21, N. Y., April 9th, 1944

Cena 15 ct.



Rys. IRENA LORENTOWICZ "...Sztuka ludu zwie Go Frasowliwym..."

JERZY TEPA

Najsmutniejsza Wielkanoc

Nadchodzi Wielkanoc. Co roku witała ją melodia rezurekcyjnych dzwonów, grających w ciepły wiosenny wieczór pieśń zmartwychwstania, melodia poważna i wzruszająca swą głębią tonów, raz po raz przerywana swawolnym hukiem petard i dzieciennych "żabek". Tłumy wychodzące z kościołów rozlewały się barwną, ruchliwą falą po ulicach miast i miasteczek, po wiejskich drogach, pełne radości życia, gwarne, roześmiane, spokojne o niebo, bez troski o krwawą łunę zachodzącego słońca.

Płynęły wolno, bez pośpiechu, w spokojnej świadomości, że czekają na nich domy przystrojone i wybielone świątecznie, pełne stoły, o śnieżnych obrusach i uśmiech dziecka, które nie znało głodu, męki konania, sieroctwa i nędzy. Wielkanocne dzwony grały hymn polskiej radości.

Od pięciu lat dzwony milczą. Może dlatego, że ich niema, że je przetopiono w pociski a napewno dlatego, że niema radości. Pęknięte serce dzwonu stało się symbolem pękniętego serca narodu, który bez wiary w zwycięstwo podniósł broń w własnej obronie a dziś traci to, co mu tylko zostało — nadzieję. Miłość już w nim znaleźć niełatwo. Zostawił ją w krematorjach Oświęcimia i Matthesen, na stopniach zaplombowanego bydłowego wagonu, pędzącego tygodniami po tragicznej syberyjskiej drodze krzyżowej, wybito mu ją wraz z zębami kolbą karabinu, bezlitośnie zmiażdżono i rozdeptano.

Cztery Wielkanoce po wrześniu nie były świętem radości. Ale czekano na cud. Myślano o nim, szeptało, tęskniono do niego jak w dniach Ogrojca. Z roku na rok rosła nadzieja, broniąca przed szaleństwem rozpaczy, bo przecież i Zbawiciel trzy dni był przywalony kamienną płytą ale trzeciego dnia ją odrzucił i zmartwychwstał. Więc i my...

Nadchodzi trzeci dzień. Cud się nie spełnił. Na płycie zmieniły się tylko buty strażników. Gdzieś w Równem, w dziesiątkach, może setkach miast polskich ktoś komuś chciał zapomnieć najcięższej krzywdy, wyciągnął do zgody skrwawione, pokaleczone ręce — ale te ręce zawisły w próżni. Ponoć nałożono na nie kajdany. Piąta Wielkanoc odbiera nadzieję.

"Błogosławieni, którzy wierzą..."

Wierzmy — bo taki jest obyczaj Polaków. W dniach, w których za możliwe uważać musimy tylko rzeczy niemożliwe, w epoce politycznych woli i paradoksów, tanich kompromisów, dokonywanych przez jednostki i społeczeństwa, niderlandzkich gestów Zagłoby, ohydneho handlu żywym towarem w milionowej skali, pozostaje nam jeszcze wiara w kaprys losu i maskę, zdartą przedwcześnie przez gracza, ufnego w swą szczęśliwą, czerwoną gwiazdę.

Pozostała nam jednak wiara w nich. W tych, co latami kryją się po lasach i puszczech, by nie zrzucić polskiego munduru i nie zakopać karabinu, który pamięta wrzesień i którym — jak we wrześniu — ostrzeliwać się dziś muszą naokoło. W miliony bezimiennych, co piąty rok z rzędu cierpią z zaciśniętymi w bólu zębami i nie zginęli. W narodowca, który ciałem swoim broni dostępu do lwowskiego Cmentarza Orłąt, w żyda, walczącego bohaterko na reducie warszawskiego ghetta, w socjalistę, niosącego wysoko sztandar wspaniałych tradycji 1905 roku na "torach śmierci" kolei Lwów-Odessa, w chłopca, palącego z narażeniem życia swój kontyngent rolny, w robotnika polskiego, produkującego w Niemczech niewypały bombowe, w matkę, uczącą dziecko polskiego pacierza i w dziecko, które ten pacierz co wieczór powtarza, wpatrzony w gwieździste niebo, skąd kiedyś wróci do niego ojciec na polskim spadochronie.

W świetle ich wiary nasza niewiara staje się bluźnierstwem. Oni wiedzą lepiej. Myśmy tylko przeszli obok dramatu polskiego, otarli się o jego fragmenty boleśniej lub mniej, oni znają wojnę i niewolę w jej całej diabolicznej grozie, czują jej rany każdym nerwem codzien — jednak trwają. U źródeł ich głębokiej wiary jest cierpienie. Nam przypadła tylko rola Tomaszów, wkładających rękę w bok Zbawiciela, niewierzących, zwątpiałych.

Są jeszcze inni wierzący. Ci, którzy nie dojechali do Teheranu. Już piąty rok pochylają się w nieludzkim wysiłku na bezkresnych polach bawetnianych Uzbekistanu, kostnieją w mrozach syberyjskiej zimy, żarci suchotami i awitaminozą. Gdy nadchodzi bezsenna noc, patrzą szklanemi źrenicami długo w niebo a potem przed siebie, na zachód i myślą, że przecież nadejdzie Dzień Zmartwychwstania. I im dało się piekło cierpienia.

Są dalej ci, których źródłem wiary jest siła. Zwarte szeregi walczących na włoskiej ziemi, na morzach, na niemieckim niebie, wpatrzony w Dąbrowskich i Sułkowskich, niepomne ich tragizmu, pomne ich entuzjazmu i gorącego serca. Są Polacy amerykańscy, na których Kraj i Armja patrzy z nadzieją jak w przełomowych dniach lat osiemnastych, gdy nie szczydzili żadnego wysiłku, żadnej daniny — nawet krwi — by kraj ich ojców stał się podobny krajowi, który ich przygarnął w tułaczęj wędrówce.

...a smutny Chrystus, którego lud zwie Frasowliwym, siadł na ruinach polskiego miasta, oparł głowę w cierniowej koronie o przebitą dłoń i mówi do nas w tę najsmutniejszą Wielkanoc:

"Błogosławieni, którzy wierzą..."



JAN LECHOŃ

WIELKI PIĄTEK

Kobieta, której nie stać na kir i żałoby
Lecz z której twarzy czytasz całą Mękę Pańską
Jak senna w Wielki Piątek idzie Świętojańską
I dziecko wynędzniałe prowadzi na Groby.

I nagle zobaczyła: zamiast kwiatów — skała
I nie pachną hjacynty, nie widzi przybrania.
I wtedy ta kobieta kamienna zadrżała
Że może po tej śmierci nie być Zmartwychwstania

Lecz oto dźwięk przecudny spłynął w ciszę głuchą
I z chóru lekko zstąpił anioł urodziwy
I tej trupiej kobiecie powiedział na ucho:
“Im cud jest bardziej trudny, tem bardziej prawdziwy”.

IRENA LORENTOWICZ

RYSUNKI AUTORKI

WIELKANOC U MALWIŃCI

On się mazywa Władeczek, a ona — Malwińcia. On ma obcisłą kurteczkę w kratkę szkocką, fontaż w grochy, spodnie w pepite, wąskie i długie; ona — grzywkę, loki, riuszki i halki, a z tyłu, poniżej pasa, ogromną, przykrytą motylem szarfę, tiurniurę.

Mieszkają razem z siostrzyczką Kamilią w wygodnym domku na słupkach, na przedmieściu. Mają powozik i konie, ogródek i białe firanki, aksamitne lambrekiny, frendzle, sutasze, pasmanterje, etażerki i figurki, marmurowe spluwaczki, obrazki pamiątkowe malowane na korze, fotografie rodzinne w ramkach z drzewa, robionych na sękatę drzewo, słupki z palmami, widoki z "wód", lampy naftowe, gazowe, o kloszach z malowanego szkła, meble, obite pluszem, z czarnego drzewa, poobwieszane robotkowymi serwetkami, a gdzieś, po kątach ukryte, niemodne, pamiątki dawniejsze, po mamie, po babci — dagerotyp z 63-go, miniatura, portrecik dziadka w napoleońskim mundurze, stara szabla na dywaniku zawieszona, litografja Grottgera...

Do mieszkania Malwińci wchodzi się przez przedpokój, w którym zebrane są najbrzydsze meble domowe, kufelki pookrywane fałdami kotar i portjer. Na konsoli stoi patera z biletami wizytowymi, a w kącie — bambusowy postument do parasoli, na ścianie, blisko sufitu, rogi jelenie i ze dwie — trzy chromo-litografie na przybrudzonych passe-partout.

Już od dwóch tygodni panie w domu ciężko pracują, zajęte wielkanocnymi porządkami. Pan domu, przeganiając z kąta w kąt, bardzo niechętny, przedwielkanocne godziny najchętniej spędza w "handelku" nad lampką wina z przyjaciółmi, jak on zmaltretowanymi porządkami świątecznymi. W Wielkim Tygodniu pani Malwińcia jedzie, ze służącą, konnym tramwajem po zakupy — daleko, aż za Żelazną Bramę. Zapach wiosny mają cukrowe "baranki" i wianki kiebas i długie wąsy-widlaki do ozdabiania stołów, barwinek i różowe hjacenty, malowane jaja i błyszczące placki, wieczorne kadzidła z drzwi otwartych kościołów, Stare Miasto i Wola, Powiśle i Mokotów. Tak samo zresztą wygląda ten tydzień świąteczny w Warszawie jak w Krakowie czy Lwowie...

Malwińcia jest wszędzie, z parasolką koronkową, w mitenkach i boa, pracowita kukielka, tak znajoma dobrane!

Zapach wiosny to — łoskot petard, huk wystrzałów, krzyk dzieci na ulicy, opowiadania babki, "pogrzeb"



"...wśród zastaw, mięsiv,
co otoczyły baranka..."

śledzia i żuru postnego, uczta świąteczna, która niegdyś była słowiańską uczta powitania wiosny... Pod słomianym kropidłem drżą listki rzeżuchy, mruży oczy "głowizna" z jajem czerwonym w pysku. Czego tam niema! Malwincia trzodzi się nad przyrządaniem potraw tak, aby święcone nie zrobiło wstydu gospodyni domu i suto a smacznie gości nakarmić mogło. Bo drzwi od mrocznego przedpokoju stoją od rana otworem — "gość w dom, Bóg w dom" — tak, jak gdyby Pan Bóg niczego lepszego nie miał do roboty, tylko patrzył zdumionym wzrokiem, jak gość je, pije, odpoczywa i znowu je i pije.

Gospodyni, najważniejsza dziś osoba, kręci się wśród zastaw, mięsiv, co otoczyły kręgiem baranka z chorażewką, wśród butelek, sosów, chrzanów, kotków lukrzbowych, mazurków i bab biało lukrowanych, kolorowym maczkiem posypanych. Dzieci się ćwiarteczka jajka z każdym przechodzącym przez jej szanowny



"...oblewali damy wodą prostą..."

stołowy z ciemnego dębu. Dziś jest to królowanie Malwińci; zastrachany pan domu otwiera w kącie butelki. A jutro, jutro to — dzień panienek na wydaniu: dyngus-śmigus. Z dawien dawna oblanie wodą panny jest wyróżnieniem jest wśród towarzyszek.

Rodzina Malwińci bardzo sobie ten honor ceni. Czeka na to z biciem serca siostra Malwińci, Kamilia. Jest to stara, historyczna przeciw tradycja, o której nawet Kitowicz pisze: "Oblewali się rozmaitym sposobem i amanci dystyngowani. Chcąc ten ceremoniał odprawić na amantkach swoich bez ich przykrości, oblewali je lekko różaną lub inną pachnącą wodą. Którzy zaś przekładali swawolę nad dyskreccję, oblewali damy wodą prostą, chlustając garnkami, szklenicami, dżemi sikawkami prosto w twarz. Bywało nieraz, iż osoba, zlaną wodą, jak mysz, a jeszcze w dzień zimny, dostała stąd febrę, na co bynajmniej nie zważano, byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi". Za czasów panny Kamili bardzo jeszcze pilnowano tego starego obycaju. Panna, z ogromnym strachem, wyglądała na ulicę, ale też i z ochotą. A co przytem było dookoła miłego domku na słupkach pisku i wrzasku!

Domku na słupkach...

Za Wolą, koło Powązek, blisko Wiśły stały niegdyś w Warszawie domki z ganeczkami, podobne do tych wileńskich dworów na Antokolu — niewielkie, ale znaczne posiadłości podupadłego ziemiaństwa lub pełnych tradycji ambitnych mieszczam. Takie dworeczki, niekiedy pałacyki do ostatnich czasów można było znaleźć w Warszawie, ukryte w głębi podwórzów za nowoczesnymi kamienicami ulicy Kruszej, Nowego Świata... Niegdyś zamieszkiwane przez ludzi z "Lalki" Prusa, budziły czułość i niepokój, jakie się ma przy oglądaniu ilustracji żywych ze wstrząsających książek, po raz pierwszy czytanych we wczesnej młodości. Ta starodawna Warszawa Prusa w tragedji świata zginęła pewnie bezpowrotnie... Takich zabytków już nie wróci.

Ślady drobnych stóp panny Izabeli Łęckiej, wspomnienia z powieści Zapolskiej, z rozmyślań pana Podfilipskiego — istniały jeszcze do niedawna. Wystarczyło spojrzeć przez szybę do wnętrza ciemnowych niektórych starych aptek, gdzie w słojach szklanych lśniły tajemniczo płyny jaskrawo zielone i czerwone, wystarczyło obejrzeć niektóre ogródki kawiarni, niektóre salony cukierniane, jak te na Podwalu czy na Miodowej, żeby zobaczyć typy i nastroje z dobrze zna-

jomych książek. Tak samo istniał w Warszawie cały szereg wnętrz, które oparły się współczesności, wcale nie z ubóstwa, ale przez zamówienie. Taniej i wygodniej byłoby mieć niezbędną potrzebę nowoczesne sprzęty, niż pielęgnować i odkurzać sztukaterie i frendzle, ramki i rameczki, kłozse i serwantki, esy i floresy, dywaniki, makatki, hafty, zasłony. Poza osławionemi klatkami schodowemi zamoznych kamienic, gdzie wśród palm i dywanów stały po rogach Greczynki i Nubijczycy, sztywno trzymając wspiane lampy, niegdyś gazowe — istniały wnętrza w prostej linii wywodzące się z tamtych mieszczańskoziemiańskich dworów niziutkich, a pachnących tiurniurami, piżmem i paczulą.

Pamiętam trzy takie "interiory": jakiś salon w Alejach, cały z czerwonego pluszu, ze złotemi obszyciami, gdzie wielki fortepian ugiął się od wazonów, patarafek, metalowych ramek, porcelanowych figur, tek z reprodukcjami — gdzie każda lampa elektryczna przerobiona była z gazowej, gazowa ze spirytusowej, spirytusowa z naftowej, naftowa z oliwnej. Pod żyrandolami stały fikusy, na ścianach wisały kinkiety a pod nimi — obrazy w pluszowych ramach i powiększone fotografie rodziny. Wszędzie były rzeźby i ornamenty — na suficie, na drzwiach, na boazerjach, na słupkach, na piecu pełnym amorków i na wszystkich meblach. A drugi raz zachwyił mnie salonik córki Kostrzewskiego, gdzie wszystko tonęło w albumach aksamitnych, wspomnieniach i sztukaterjach. Trzeci zaś, to właśnie domek — dworek, pałacyk za Wolą, zamieszkały przez trzy, niegdyś sławne z urody amazonki, siostry Bernackie — stare panny, ukarane przez los za to, że zbyt długo przebierały w konkurentach — żywcem wyjęte z dawnego romansu. Każda nowa uroczystość rodzinna przynosiła nową falę fotografii zbiorowych, prezentów i pamiątek okolicznościowych — haftowanych poduszek i wyszywanych ręcznie przez siostrzenicę pantofelków na zawieszenie zegarka, "suwenirów" z terrakoty, pieśków, bratków i niezapomi-



"Malwińcia trzudi się nad przyrządzeniem potraw tak, aby Święcone nie zrobiło wstydu gospodyni domu..."

najek na jedwabiu malowanych. W takich to pokojach — gdzie między podwójnymi oknami mech i kolorowe tutki z solą leżały, a kapucyn na parapacie pogodę przepowiadał — odbywały się w różnych miastach Polski "Domy Otwarte", żyły "Grube Ryby" — o nich to pisał Bałucki i Błiziński, rysował Piwarski i Kostrzewski. Poza istotnemi wartościami wplatał się tam styl mieszczański, może bez wartości, ale jakże zabawny! Szczytem tego stylu i jego najsilniejszym wyrazem jest Opera Paryska. Styl ten był w każdym kraju i

Ameryka miała go wiele, faworyzując go w dzisiejszej modzie i ceniąc wszystkie przedmioty "old fashion". W wycinku polskiego życia czasy te były specjalnie zabawne, owiane swoistym czarem.

Może właśnie dlatego tak chętnie witamy — dziś tem bardziej — Bałuckiego na scenie w Teatrze Artystów, gdzie Malwińcia i Kamilcia, Władek i Zygmus zawzięcie się kłóć o Józję, gdzie maleńkie, nieważne kukielkowe sprawy dają chwilę zapomnienia, chwilę rzewnego uśmiechu.

Franciszek X. Wazeter

ADWOKAT

170 Broadway New York City

Prezes Centrali Polsko-Amerykańskich Towarzystw w Nowym Yorku
Prezes Polskiej Rady Narodowej

Worth: 2-6788

zaszyła

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

całej Polonii

Serdeczne życzenia
WESOŁEGO ALLELUJA

D. & Z. Bottling Co., Inc.

Wincenty Zmyrko, prezes
M. Widlicki, wiceprezes

FABRYKANCJI

Sparkling Carbonated Beverages

252 Kent Ave., Brooklyn, N. Y.

Tel. Evergreen 8-8871

Przedstawiciel i dystrybutor

NA LONG ISLAND

STANISŁAW KOŁAKOWSKI

802 Covert Ave., New Hyde Park, L. I.

Tel. Floral Park 5524

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

zaszyła

DANIEL GŁOWA

INTROLIGATOR

53 BUSHWICK AVENUE

BROOKLYN, N. Y.

Telefon STagg 2-3173

WŁADYSŁAW BESTERMAN

POLAND'S PLACE IN EUROPE

(Excerpts from a speech delivered March 14, 1944 at the Women's National Press Club in Washington, DC.)

...I am to speak about my country's place in the **post-war** world, but permit me first to straighten out one very important issue concerning my **country's place in the war**.

There have been voices raised lately which made me believe that this war is fought for the liberation of the German people — yes, of the **German people** — who should be rewarded for their acceptance of Hitler and obedience to Hitler, for their unswerving readiness to fulfill every barbarity in the name of the triumphant Germanism, — should be rewarded by keeping every inch of their territory and every implement of their might. However, the first victim of German aggression and the first nation to put up a fight against this aggression, Poland — a nation without a Quisling, a nation fighting in the walls of Warsaw, in Narvik, in France, in Tobruk, in the Battle of Britain, in the skies over London and in the skies over Berlin, around the Cassino Monastery right now, on the Seven Seas, and since four years in the underground, — the Polish nation should be punished for its heroism by the loss of exactly 53 percent of its national territory...

Thus it seems to me that some American writers got their formulas somewhat mixed up. They simply advocate the application of the **Atlantic Charter to Germany**, and the formula of "**unconditional surrender**" — to Poland.

* * *

Speaking about Poland's place in the post-war world, I think I had better outline the place my country occupied in the world since over one thousand years of Poland's recorded history.

Poland lies in the geographical and political center of Europe. It is exactly as far from Warsaw to the eastern border of Europe, the Ural Mountains, as it is to the western border of Europe, Portugal's Atlantic seashore. And it is with about the same amount of right that Portugal could claim Poland under her sphere of influence as the country reaching east and west of the Ural Mountains.

Poland, for over ten centuries closely linked with the western, Latin, Christian civilization, forms the political center of a vast stretch of territory between the Baltic, the Black and the Adriatic Seas, which, for the sake of historical truth, I will call — "**the aggressors' hunting**

grounds". On this stretch of territory over 130 million people, exactly the population of the United States, divided into several nations: the Finns, Estonians, Latvians, Lithuanians, Poles, Czechs, Slovaks, Hungarians, Roumanians, Yugoslavs, Albanians, Bulgars and Greeks — live since more than ten centuries, **fighting in every generation an aggression coming alternately from the West or from the East**. One thousand years of recorded history does not know an aggression by Poland or by any one of those nations against either of the big, powerful Germanic or Russian neighbors. Now, we hear from very authoritative statesmen the expression of conviction that **one of those big powers needs to be protected** because one or another of those small nations constitutes a treat to its territory!

We all know that the seat of logic is the head. I know that logic cannot work smoothly if you stand on your head, and I know that this position is a difficult one even for acrobats — political and otherwise. So let me express very sincerely my deep conviction that the **acrobatic formula of protecting tigers — or bears — from the appetite of the sheep**, is something which could come about only in times as trying for diplomacy as the ones we are witnessing now. And let us hope that this idea of **onesided security for the strong** will be as shortlived as possible.

* * *

In my humble opinion, security worthy of its name must be **universal in character**. To create real security, universal security, we must first — **firmly discourage the imperialistic tendencies**, and second — **protect and strengthen the weak**. As William Henry Chamberlin put it very recently: "It is the strong, not the weak that require restraint if a civilized warless world is gradually to emerge from the havoc and chaos of the present time".

Could anyone be in a position to name even one war started within the last half century by a so-called small power? — Well, except the war between Bolivia and Paraguay — but that was in the Western Hemisphere...

* * *

The **geographical position** of Poland determines her **political place** in Europe. I venture to think that this reality is important to be remembered right now when, by virtue of their strength and magnificent fight against the German and Japanese

barbarians, the three great Powers among the United Nations are trying to shape the future world. The responsibility of these three great Powers is all the greater because — as Mr. Sumner Welles so rightly stressed the other — **Europe is unfortunately not yet represented among those nations which are making plans regarding Europe's own future**. The very fact that Poland, the nation largest in territory and population in the group living on the "**hunting ground of the aggressors**" is situated in the center — both on the north-south, and the east-west lines, the very fact that Poland as far back as the XIV-th century succeeded in establishing peacefully a federation of Central European nations which endured for over four centuries, — these facts predestined Poland to the **role of a rallying point for a Central European Federation or Union**. This idea was most welcome in America. We found here most sincere encouragement and the "green light" was flashed to us in high quarters to go ahead and plan the Central European Federation. The place of Poland in this peaceful Federation was never meant to be that of a leader. No, — faithful to her five centuries old political slogan — "**Free with the Free, and Equal with the Equal**" — we tried to rally Central European peoples under this very slogan.

Unfortunately, the "**green light**" somehow changed into—**red!** — and powerful forces, apparently very powerful forces, make logic stand upside down. **What was meant to be the most effective protection of both the ever-warring European big Powers, was declared to be an element of insecurity**. As if unity and rejection of imperialism, as if federation of small, abused, tired, tortured, mistreated, longing for freedom, peace and pursuit of happiness nations which would like to shape their future upon the American example, as if the declared will of these nations to unify, to federate and to secure once and forever peace on the continent of Europe, could have been anything else but a basic element of the future universal collective security! It was also the unanimously declared will of both Poland and Czechoslovakia which in 1940 and 1941 signed first drafts of the future Federation to cooperate both politically and economically with the Russian Empire. Such collaboration is as logical as it is necessary. It is simply obvious and it is the determined will of the nations concerned.

I do think that in the framework of the very desirable collaboration between the United States, Great Britain and Russia, there are means to convince the leadership of that latter great and so bitterly tried country, that federation means peace and security — I would say almost by implication. I do hope that, as soon as the three big Powers find the time has come for Europe to join in the counsels and take an active part in moulding its own future, and that as soon as a real United Nations Council sits down around a table covered with green cloth — green is the sym-

five years ago freed Europe from imperialism — unfortunately, only temporarily.

Permit me to tell you a short story — true to life. You probably know that the courageous men who travel between Poland and England as liaison men between our Government and our relentlessly fighting underground army, have several routes. I do not think I betray a secret if I tell you that most of them cross the mountains, the wild, forest-covered Carpathians between Poland, Slovakia and Hungary. A few weeks ago the liaison man who was called to

The old lumber jack was much more optimistic, however. "You will see" — he said — "everything is going to be alright. Just wait and be patient. It will happen exactly the way it happened after the last war. We were under the Austrians, under the Germans, under the Russians, and finally — we were free. This time again **Wilson will come and Wilson will free us as he did twenty-five years ago. Wilson will come, America will come!**"

"Well" — said my friend — "didn't you know that Wilson is dead?"



bol of hope! — that the artificial, undeserved, obnoxious and contemptuous words "cordon sanitaire" will be discarded, and the words "Central European Federation" will take their well deserved place of honor.

I think this is a big job to be done by America, by your Federation of 48 states, for a future federation of four, six, maybe eight European States.

Everybody in Europe counts on America. Everybody counts on American idealism. Everybody remembers that it was America that twenty-

London happened to be my very close and dear friend. After several hours march he reached high and deep in the mountains an old lumber-jack's hut. The old man, probably over seventy, did not know who his overnight guest was. My friend posed as a wandering lumber-jack. The two men talked long into the night — of course about the war and the postwar — exactly as in every Washington club. My friend seemed to the old backwoods-man very pessimistic. You know — frankly — every Pole is that way right now...

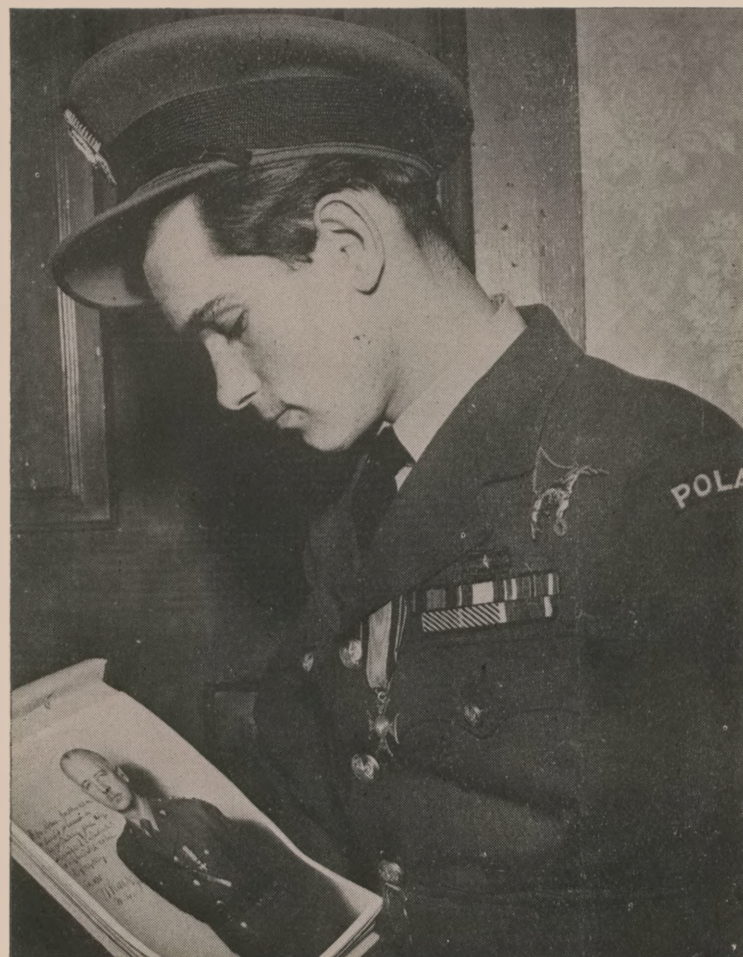
"Why" — said the old lumber-jack — "do you believe German propaganda?!... The Germans are trying to rob our people of every hope. They are telling the people that Wilson is dead. **Wilson is not dead** — he lives and smokes large black cigars. And he will come and free us!"

I think — Ladies and Gentlemen — that my friend's host knew something about America's role in the postwar world and — maybe — judging from the cigar — maybe also about Great Britain's role, too...

HALINA MAJEWSKA (Chicago)

PORUCZNIK BRONISŁAW GODLEWSKI

WYWIAD SPECJALNY
DLA "TYGODNIKA POLSKIEGO"
Copyright by "Tygodnik Polski"



Po powrocie

Tak się właśnie złożyło, że dzień, w którym miałamznaczony wywiad z porucznikiem Godlewskim, był jasny i słoneczny — pierwszy w tym roku wiosenny dzień. Kiedy szłam do mieszkania Godlewskiego, było około piątej popołudniu. Gdzieś, niedaleko, dzwoniły dzwony kościelne. Przypomniały mi się święta i tak jakoś z podświadomych myśli wypłynęło jedno słowo — "Zmartwychwstanie". Niewątpliwie, w dzisiejszych warunkach życia jesteśmy wszyscy przewrażliwieni i skłonni do przypisywania nieważnym, drobnym wypadkom jakiegoś głębszego znaczenia. W codziennych, zwykłych wydarzeniach doszukujemy się często jakichś znaków, wróżb. Ale dlaczego, myśląc o świętach, nie przyszło mi do głowy częściej używane słowo — Wielkanoc,

tylko właśnie — "Zmartwychwstanie"?"

o o o
Porucznik Godlewski mieszka z matką i siostrą w małym, niepokaznym domku. Mieszkanie schludne ale bardzo skromne. W saloniku na jednej ścianie wisi portret ojca w mundurze armji hallerowskiej. Ojciec nie żyje — umarł na parę tygodni przed powrotem syna z Anglii. Na drugiej ścianie wisi w ramach dyplom Virtuti Militari; pod nim, na szafce dwie fotografie — Godlewskiego, w polskim mundurze lotniczym i jego młodszego brata w mundurze marynarki amerykańskiej. W tym skromnym, maleńkim pokoiku trzy fotografie w wojskowych mundurach — i order Virtuti Militari.

Godlewskiego nie było w domu.

Przyjęła mnie matka, pani Godlewska. Powiedziała mi, że syn zaraz wróci, wyszedł tylko na spacer i pewnie zagadał się z kolegami. Zaczęła mi opowiadać o wojnie, o tem jak kogoś z sąsiadów zabrali do wojska — o sobie nie mówiła nic. O tem, że syn jej był ranny, że stracił obie ręce — ani słowa. Może celowo unikała tego tematu, a może nie mówiła o własnych zmartwieniach, poprostu dlatego, że o sobie nie myśli — tyle przecież większych nieszczęść jest na świecie. Wspomniała tylko o tem, że tak strasznie żałowała, że mąż nie doczekał powrotu syna.

Po chwili wszedł Godlewski. W niebieskim swetrze, bez czapki, wy-

— Więc dobrze, mówmy po polsku. Niechże mi Pan powie, ale tak zupełnie szczerze, dlaczego Pan wstąpił do polskiego lotnictwa? Przepraszam, że tak pytam, ale widzi Pan, do wojska na ochotnika wstępują ludzie z różnych pobudek — przeważnie ze szlachetnych, ale są i tacy, którzy tylko szukają wrażeń, lub ucieczki przed czymś — a Pan?

Godlewski jest jeszcze bardzo młody — zdziwiło go moje pytanie.

— Jakto dlaczego? Jak Niemcy napadli na Polskę, zaczęli zabijać, mordować, palić, niszczyć — a potem bolszewicy uderzyli w plecy, jak zdrajcy, to co miałem robić? W domu siedzieć i czekać, kiedy w każ-



Z matką

glądał młodziej niż zwykle. Bez żadnej pozy, skromny, bezpośredni, wesoły — wyglądał raczej na chłopaka wracającego ze szkoły, niż na bohatera, którego dekorowano, przyjmowano, fetowano.

— Pana pewnie znudziły te ciągłe wywiady? Nie będę Pana długo męczyć. Czy Panu łatwiej mówić po polsku czy po angielsku?

— Mnie wszystko jedno. Jak byłem mały, mówiłem tylko po polsku. Dopiero w szkole nauczyłem się angielskiego.

ska, ale do amerykańskiego mnie nie przyjęli — powiedzieli, że jestem za młody. Więc wstąpiłem do polskiego."

— Rodzice Panu pozwolili, tak bez żadnego sprzeciwu? Nie wydawało im się, że Pan za młody?

— Broniek się nie pytał — wtrąciła matka — zapisał się a potem przyszedł do ojca i zapytał — Coby tata powiedział na to, gdybym się do wojska zapisał?

— Tata mi przez cztery godziny tłumaczył, że mam jeszcze czas — że mam dopiero 17 lat. W końcu powiedziałem mu, że jużem się zapisał.

— A ojciec?

"Co miał mówić? Sam mi tyle dawniej naopowiadał o chłopcach czter-nasto, piętnastoletnich, co szli na wojnę i bili się za Polskę. A ja już miałem 17 lat. Zresztą tata, gdyby mógł to samby i teraz poszedł, tylko, że był już schorowany, nie miał sił. Może mu było trochę smutno, że idę, ale zrozumiał prawie."



"...chciałbym do Polski wejść z kolegami..."

— Pojechałem do Kanady, a potem do Anglii. Tam mnie szkolili przez trzy miesiące. Wreszcie odbyłem pierwszy lot w styczniu, 1943 roku nad Lorient. Potem brałem udział w nalotach na St. Nazaire, Hamburg, Kolonię, Bremen i Essen. Razem było 11 lotów."

— Nie bał się Pan z początku?

— Bo ja wiem? — nie było na to wiele czasu. Pewnie, żeśmy wszyscy byli zdenerwowani, nigdy nie wiadomo, czy się wróci do bazy, ale o tem nie wiele myśleliśmy. I ja i koledzy chcieliśmy tylko jednego — żeby jak najprędzej dorwać się do walki, bić Niemców, wybić ich jak najwięcej — robić wszystko, żeby się ta wojna jak najprędzej skończyła, bymy wszyscy mogli jak najprędzej wrócić do domów.

Godlewski ma bardzo niebieskie oczy — jasne, pełne dobroci, szczerości. Dziwnie było słuchać, jak ktoś o takim dobrem, dziecinnym prawie

spojrzeniu, opowiada o zabijaniu, o bombach, o zemście.

Jakże straszne są zbrodnie wroga, skoro nawet w takich młodych sercach budzą nienawiść i chęć zemsty. I jakże wzniosłe są uczucia miłości do ojczyzny i do praw wolności, skoro w imię tych praw można niszczyć ziemię i miasta, zabijać ludzi i myśleć o krwawej zemście — i nadal pozostawać dobrym, szlachetnym i dalej mieć spojrzenie jasne, czyste, o dziecinnej prawie ufności i dobroci.

— Lot nad Essen był moim ostatnim — ciągnął dalej Godlewski. “Kiedyśmy wracali, zaatakowało nas 9 niemieckich pościgowców. Znaleźliśmy się w deszczu ognia i kul. Pamiętam — strąciłem trzy niemieckie samoloty i pewnie kilka uszkodziłem. Zostałem ranny. Wreszcie wróciliśmy do bazy. Przy lądowaniu bombowiec się roztrzaskał. Na szczęście nikt z załogi nie zginął. Mnie zabrali do szpitala.

— Długo Pan był w szpitalu?

— Siedem miesięcy. Amputowali mi obie ręce. Po pierwszych kilku tygodniach już mi wolno było wstać. Pamiętam, kiedy pierwszy raz wstałem była niedziela wielkanocna — to już rok temu. Chciałem jaknajprę-

dziej wyjść ze szpitala, bo mi się bardzo dłużyło, ale doktor nie pozwalał.

W tej chwili zadzwonił telefon. Ktoś prosił Godlewskiego na wieczór na jakieś zebranie — znowu miał przemawiać. Trochę się zmartwił, bo właśnie w ten wieczór miał iść do kolegi na urodziny. No trudno, pójdzie na zebranie — kolega zaczeka.

— Czy Pana nie męczą te ciągłe przemówienia, wywiady, zebrania? Ile Pan razy już przemawiał?

— Nie mógłbym zliczyć tak na poczekaniu. Czasem to i męczy trochę, ale to przecież nic. Teraz tylko w ten sposób mogę Polsce pomagać. Wolałbym inaczej — jak dawniej. Ale skoro już inaczej nie mogę, to przynajmniej tak chcę pomóc.”

— Co Pan zamierza dalej robić?

— Chciałbym znaleźć pracę — może coś w radio — może by mnie wzięli na speakera. Wtedy mógłbym matce pomagać i domu doglądać... Tyle tu jest do zrobienia, a mama już nie taka silna...

— A do Polski chciałby Pan pojechać?

— O chciałbym... tak sobie myślę, że najbardziej chciałbym wejść do Polski razem z moimi kolegami —

z lotnikami, z żołnierzami polskimi... widzieć jak Niemcy uciekają, jak ludzie witają swoich żołnierzy. Potem przez kilka lat chciałbym mieszkać w Polsce — obejrzeć wszystkie miasta, wioski, ulice i domy, o których mi mówili rodzice i koledzy. Chciałbym odwiedzić wszystkich znajomych i przyjaciół. Tylko, gdyby Rosja miała zabrać Polskę, to wtedy jużbym nie chciał jechać. Ale chyba nie zabierze — chyba im na to nie pozwoli.

— Oj, żeby się ta wojna już jak najprędzej skończyła — żeby wszyscy byli wolni i mogli wrócić do swoich domów. I niechby z Niemców już nie zostało, żeby nie mogli nowej wojny zaczynać. I żeby już tej biednej Polski tak nie męczyli. Niech ją już raz zostawią w spokoju — niech jej wreszcie dobrze będzie.

Wychodząc od Godlewskiego, myślałam sobie, że tej biednej Polsce będzie kiedyś dobrze, skoro tak ją kochają nawet ci, którzy jej nigdy na oczy nie widzieli. Takich jak Godlewski jest przecież dużo, dużo więcej. I może dlatego, kiedy wyszłam na ulicę w ten ciepły, wiosenny wieczór, znowu mi na myśl przyszło słowo — Zmartwychwstanie.

“JACOBOWSKY AND THE COLONEL”

Sztuka Werfla “Jacobowsky and the Colonel” grana od trzech tygodni w Martin Beck Theatre, na początku przyjęta przez krytykę z licznymi zastrzeżeniami, zdobyła sobie przecież publiczność, która coraz tłumniej uczęszcza na jej przedstawienia, tak że ta europejska komedia zapowiada się jako jeden z największych sukcesów teatralnych ostatniego czasu. Pomimo iż przeróbka spaczyła jakoby niektóre intencje Werfla — “Jacobowsky and the Colonel” jest niewątpliwie sztuką literacką niezwykle subtelną, chciałoby się niemal powiedzieć francuską i jej sukces u publiczności nowojorskiej świadczy dobrze o jej instynkcie i smaku.

Dla nas Polaków jest komedia Werfla z tego szczególnie w związku interesująca, że jednym z jej bohaterów jest polski pułkownik, obrany za bohatera bynajmniej nie przypadkowo, ale dlatego aby w jego osobie przedstawić pewien typ psychiczny i uwidatnić pewne kontrasty, niezbędne dla wyrażenia naczelnej idei utworu. Można mieć oczywiście jaknajdalej idące zastrzeżenia przeciw beztrosee, z jaką Werfel — (jak na innym zupełnie, o ile niższym poziomie Lubitsch w swym filmie “To be or not to be”) czyni najtragiczniejsze wypadki tej wojny tematem do uśmiechu, można najśluszej chcieć aby grecka tragedia Polaków w tej

wojnie przedstawiona została wreszcie z tragiczną siłą — to wszystko jednak zaznaczając, trzeba uznać wielką subtelność Werfla w rysunku dwu naczelnych postaci sztuki, z których jedną jest polski pułkownik, a drugą Żyd, rodem z Polski. Ustawiczne ataki na nas, bezmiar ignorancji obcych o naszym kraju, naszym narodzie, naszej historii, wyculiły nas tak bardzo, że mamy niewątpliwą skłonność do uważania wszystkiego, co nie jest apoteozą Polski i Polaków, za lekceważenie nas lub za tę właśnie wrogą propagandę. Niejeden też z polskich widzów komedji Werfla — zżyma się na przedstawianie różnych śmieszności i wad polskiego pułkownika, myśląc ilu dzisiaj ginie Polaków, o tak wielkich cnotach, że doprawdy można zapomnieć o ich słabostkach.

Ale sztuka jest zawsze niemal sztuką kontrastów i kto beznamiętnie zanalizuje postać hrabiego Szczerbińskiego (?) ten zrozumie, iż jego anachronistyczne wady i śmieszności są właśnie kontrastami niezbędnymi do uwidatnienia również anachronistycznych jego cnót, ale anachronistycznych w tym sensie, że mało kto już dziś tak jak Polacy walczy, poświęca się, mało kto tak jak my wierzy w wyższe wartości życia. Werfel chciał dać w swej sztuce współczesną wersję Don Kichota i Sancho Panszy i

postanowił uczynić Don Kichotem polskiego oficera, który poprzez wszystkie trudności i niemożliwości widzi jeden cel i jedną drogę tylko: drogę honoru i walki. Że ten Don Kichot, jak prawdziwy Don Kichot, jest przytem śmieszny — to bynajmniej nie ujmuje mu bohaterstwa, to czyni go bardziej ludzkim i prawdziwym, a zresztą czyż śmieszność Don Kichota nie była to satyra raczej na świat niż na niego? Pułk. Szczerbiński jest napewno nieraz śmieszny, ale świat, który go otacza, poddająca się Francją Petaina jest to świat mały, świat przyziemny i jeśli w przeciwstawieniu do cnót średniowiecza, które reprezentuje polski pułkownik, ten świat jest wiekiem dwudziestym — to ani na chwilę nie mamy wątpliwości po czyjej Werfel staje stronie.

Stosunek wzajemny Jakubowskiego i pułkownika przedstawiony jest też z niezwykle subtelną, daleką od tych grubych kontrastów, jakimi pamphleciści całego świata rysują stosunki polsko-żydowskie.

Pułkownik Szczerbiński, pyszny i wyniosły, jak wszyscy ludzie jego sfery, narazie jakby nie dostrzegał, nie raczył dostrzegać inteligentnego, szlachetnego, ale nie patetycznego i nie lubiącego wielkich słów Jakubowskiego. Powoli jednak zaradność, lojalność i rozum sympatycznego San-

cho Pansy zjednują go, napełniają podziwem, a kiedy Jakubowski z narażeniem życia choć bez patosu ratuje mu życie, dumny Don Kichot, zjednany dla tego nieśredniowiecznego bohaterstwa, wieże swój los z inteligentnym i subtelnie sentymentalnym Szancho Pansą i, zdobywszy dla niego miejsce na statku za cenę rozstania się z ubóstwiającą go Francuską, przekrada się nocą do Anglii, gdzie Don Kichot będzie bił się, a Sancho Pansa będzie podporą propagandy.

Sztuka Werfla jest komedią i to drażni nie tylko naszą patetyczność,

ale nasze poczucie dzisiejszej rzeczywistości polskiej. Są w niej nieuchronne przesady, niezręczności i nieściśłości, ale sprawiedliwość każe przyznać, że jest ich jak na sztukę cudzoziemca zadziwiająco mało. Jej atmosfera pełna jest sympatii, nie tylko dla cnót, ale i dla wad polskiego Don Kichota i, chociaż te wady są może dla publiczności amerykańskiej, zakochanej we współczesności, raczej drażniące niż sympatyczne i potwierdzają przekonanie o nieuleczalnym anachronizmie Polaków — to przecież jest od wieków

wiadome, że bohaterem jest ten, za którym szaleją kobiety. A właśnie za polskim pułkownikiem, ubranym nieposzlakowanie w nasz ufański mundur szaleje złotowłosa Annabella. I kiedy Szczerbiński wsiada w Handaye nocą na statek i jedzie bić się, jak wszyscy Polacy do końca, a jego ordynans gra cicho na harmonijce "Marsyljanke", Annabella z cudnymi oczami pełnymi łez, pojawia się, że przez jej życie przeszedł prawdziwy bohater, szepce: "Będę cię czekała rok, trzy lata. Będę cię czekała całe życie." (m. s.)

Wojsku polskiemu, żołnierzom Polakom w armji amerykańskiej, wszystkim naszym rodakom, naszym Czytelnikom i Przyjaciołom w szczególności, życzymy na Wielkanoc szybkiego końca wojny i trwałego pokoju, który zapewni Polsce prawdziwą całość, niepodległość i siłę.

Redakcja.

O P I N I E I Z D A R Z E N I A

"Tygodnik Polski" otrzymał od Związku Polek w Chicago wzruszający list, zawiadamiający nas, że na wniosek pani Prezeski Honoraty Wołowskiej Zarząd jednomyślnie postanowił zaprenumerować 200 egzemplarzy "Tygodnika" dla naszych żołnierzy. Decyzję swą Zarząd ujął w słowach pełnych gorącego uznania dla naszej pracy i naszych wysiłków.

Z całego serca dziękujemy czcigodnej Pani Prezesce Wołowskiej i jej Współpracownikom za Ich gest wzruszający, powodowany troską o potrzeby kulturalne żołnierza polskiego i o zachowanie tych wartości kultury polskiej, o które "Tygodnik Polski" walczy.

Świadomość, że instytucja, tak wielkie mająca zasługi dla polskości w Ameryce, ocenia tak przychylnie naszą działalność — jest dla nas naprawdę nagrodą za pracę dotychczasową i zachętą do dalszej.

W imieniu też naszym narazie, zanim nasi Czytelnicy-żołnierze od siebie to uczynią, przesyłamy Pani Wołowskiej i Związkowi Po-

lek "Bóg zapłać" bardzo głęboko odczute i serdeczne.

STANISŁAW BUKOWIECKI

Zmarł w Warszawie prezes Prokuratury Generalnej Rzeczypospolitej Stanisław Bukowiecki, jedna z najszlachetniejszych, najbardziej czcigodnych postaci polskiego państwowego. Dotknięty strasznym kalem ślepoty — Bukowiecki skoncentrował się na życiu wewnętrznym, stając się naprawdę człowiekiem ewangelicznym, do którego autorytetu i nieposzlakowanego charakteru odwoływali się jego zwolennicy i

przeciwnicy — w sprawach trudnych i spornych. Przekonany zawsze że zupełna niepodległość Polski jest jedynym godnym Polaków programem politycznym brał Bukowiecki przed wojną żywy udział w pracach partii które ten program wysuwały; dyrektor Departamentu Sprawiedliwości w Tymczasowej Radzie Stanu — objął Bukowiecki w niepodległej Polsce stanowisko Prezesa Prokuratury Generalnej, wymagające tego własnego autorytetu fachowego i moralnego, których był wzorem. Jego sylwetka, doprawdy przypominająca legendarnych ślepców-proroków, jego twarz, uszlachetniona przez cierpienie, — ozdobiona wiecznym łagodnym uśmiechem — znane były całej Warszawie, której był jednym z najznakomitszych obywateli.

A CO NASTĘPNIE?

Fantastyczne powodzenie, wydanej przez Kisterowski "Rój" powieści Zofji Kossak, którego różne rundy będzie "Tygodnik Polski" sportowo notował — mile łechcąc naszą dumę, każe nam przemyśleć, jaką teraz powinniśmy, a raczej powinni Państwo Kisterowie, wydać polską książkę, któraby mogła choć w części zdobyć to, co "Blessed Are the Meek" powodzenie, gruntując tu szacunek dla polskiej twórczości, a tem samym dla Polski.

"Tygodnik" rzuca myśl, powziętą po dłuższych rozważaniach — aby spróbować znów tej wielkiej szansy, wydając "Faraona" Bolesława Prusa, jedną z polskich powieści najświet-

KUPUJCIE
Z N A C Z K I

i

B O N D Y
W O J E N N E

NEW WARSAW
BAKERY CO., INC.

585 MANHATTAN AVENUE

BROOKLYN, N. Y.

Tel. EV. 8-9089



Z obozu Armji Krajowej w Polsce

niejszych, jedną też z naprawdę u nas w kraju niedocenionych. Kiedy Prus ją pisał, Polska była w niewoli i co nie było polskie było tem samem dalekie myśлом i uczuciom, zatroskanych o najdroższy kraj Polaków.

Dlatego "Faraon" był oceniony tylko przez nielicznych znawców zdolnych ocenić ogólnoludzkie wartości tej wspaniałej powieści, już nietylko historycznej, ale filozoficznej i politycznej zarazem; przepych i polskość "Trylogji", patryjotyczny żar "Popiołów", przesłoniły nam jej nieprzemijające, głębokie wartości.

I otóż to właśnie co dzieliło wtedy "Faraona" od Polaków, może go zbliżyć do Amerykanów. Jest to prze-mądra powieść ideowa, o nieposzlakowanej historycznej ścisłości i zarazem o wiecznej a dziś szczególnej aktualności. Stawiamy kandydaturę "Faraona" i jesteśmy przekonani że to będzie sukces. Kto ma inny pomysł — niech go zgłosi.

ZGON LUVIKA PUSZETA

Zmarł w Polsce Ludwik Puszet, znany rzeźbiarz, jedna z najbardziej uroczych, lubianych, kochanych postaci naszego życia artystycznego kolejno w Paryżu, Krakowie i Poznaniu. Puszet był przedewszystkiem rzeźbiarzem zwierząt i w tej dziedzinie wielkim majstrem. Ale jego umysł żywy, pełen dowcipu, oparty o solidną, wszechstronną kulturę szukał kontaktu za wszelkimi przejawami życia artystycznego. Puszet był więc jednym z najinteligentniejszych czytelników literatury pięknej, nie raz sam też brał za pióro, aby prozą lub wierszem satyrycznym spowiadać się ze swych wzruszeń i wrażeń, na

parę lat przed wojną występował nawet na estradzie literackiego kabaretu w Poznaniu, którego był jednym z filarów. Wszyscy którzy go znali — kochali go i z żalem serdecznym i bratnim myśl ich idzie dzisiaj ku dalekiej mogile drogiego "Lula" Puszeta.

MIŁOŚĆ KSIĄŻKI POLSKIEJ

Mało jest w Polsce cudzoziemców tak znanych, tak silnie związanych z naszą dolą i niedolą, tak bezpośrednio oddanych sprawie polskiej, jak Paweł Super i jego żona.

Przez dwadzieścia przeszło lat imię Superów przebiega przez wszystkie miasta Polski. Mało kto, jak Super, może się poszczycić tem, że zarówno dobrze znany jest wśród dzieci i młodzieży w szeregach YMCA, jak w gabinetach ministrów. Z niestrudzoną energją, z płomieniem entuzjaz-

mu, z zawsze słuszną decyzją, działał Paweł Super na odcinku, jak to mawialiśmy w Polsce, młodzieżowym. Zostawił tam dzieło trwałe, którego nie zniszczą wrogowie. Bo spalone budynki Super odbuduje po wojnie, a młodzież biec będzie ku swemu staremu przyjacielowi jak dawniej.

W czasie wojny dziełem Supera jest Polska YMCA wszędzie tam, gdzie są Polacy i gdzie warunki wojenne pozwalają mu dotrzeć. Od Rumunji i Węgier poczynając, przez Szkecję, Anglję, Bliski Wschód i nieznanne, chyba z kolekcji znaczków pocztowych, tereny Tanganiki czy Nyassy. Wszędzie, gdzie jest żołnierz polski i młodzież polska, biegną niestrudzeni wystawnicy Supera, by stworzyć świetlice, by zorganizować warunki życia kulturalnego, by dać książkę i pisma.

A Paweł Super, wykopuje z pod ziemi pieniądze i z New Yorku, z Madison Avenue, wysyła je w świat — dla Polski.

Do napisania jednak tych słów o Superze skłoniła mnie inna okoliczność, niż sprawy YMCA.

W końcu lutego rb. odbyła się w Polskim Instytucie Naukowym w New Yorku konferencja w sprawie rekonstrukcji bibliotek w Polsce po wojnie. Na konferencji tej, która wyróżniała się swym niezwykle wysokim poziomem, zabrał głos Paweł Super.

W prostych słowach, pełnych smutku, przypominał wspaniałe rękopisy, pięknie iluminowane, z bibliotek krakowskich, warszawskich i innych, zrabowane zapewne bezpowrotnie. Miljony tomów bibliotek uniwersyteckich: "all gone". Wyliczał prywatne zbiory, tak bandzo w Polsce rozpowszechnione po pałacach i dworach, pełne starych książek i manuskryptów, gabloty rycin, kolekcje map. Z bólem mówił o bibliotekach społecznych, Polskiej YMCA (16,000 tomów), Macierzy Szkolnej z 2400 czytelniami i 550,000 tomami i tylu innych. A biblioteki dla dzieci? A Świętokrzyska, dziś nieistniejąca, kopalnia cennych dzieł, w której każdy z nas najpierw "stapiał" stare książki szkolne, a później, z latami, szperał, wyszukując białe kruki — rzadkie wydania. "All lost now, bombed, burned, destroyed..."

Klasztory, konwenty, kościoły z ich bibliotekami i zbiorami... "This loss can never be replaced".

Pochyliły się w zadumie głowy uczonych których życiem jest obcowanie z książką, gdy Super mówił o roli książki w życiu Polski.

"Destroyed by the invaders from the West and from the East".

W przemówieniu swem Paweł Super odkrył nam jeszcze jedną z tajemnic swego serca. Miłość do książki. Do książki polskiej. W. J.

W POPRZEDNIM 14 (66) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO

Głos rozsądku; M. K. Dziewanowski: Cnota polityki; Jan Lechoń: Premjera jak w Warszawie; Kazimierz Wierzyński, tłum. Zuzanna Wieniawa Długoszowska: "The Ballad of Mr. Churchill"; Rev. Stanisław Iciek: Farewell to Poland ((from "Their Grandson") Tygodnik dla kobiet; Opinie i zdarzenia.

ZASZCZYTNE WYRÓŻNIENIE

Piękne uroczystości odbyte temi dniami w Chicago święciły nadanie wysokich odznaczeń za niezwykle rezultaty w produkcji wojennej znanej firmie polskiej "Poray Inc." w Chicago, która produkuje aparaty radiowe i na czele której stoi znany ze swej działalności obywatelskiej i przemysłowej p. Walenty Porański. Symbolem uznania, które praca firmy "Poray" zdobyła u kompetentnych władz był list nadesłany panu Porańskemu przez podsekretarza wojny Roberta P. Pattersona, przyznanie dla fabryki flagi E (która oznacza Excellence osiągnięte w produkcji wojennej) oraz przyznanie każdemu pracownikowi, zatrudnionemu w tejże fabryce, oznak z literą E. Przeszło 500 pracowników firmy Poray, wszyscy najwybitniejsi przodownicy Polonji chicagowskiej z prezesem Karolem Rozmarkiem na czele, gubernator stanu Illinois Green i liczni przedstawiciele władz wzięli udział w podniosłej uroczystości, w czasie której generał Barzyński imieniem Departamentów Wojny i Marynarki wręczył panu Porańskemu flagę E, wciągniętą następnie na maszt wśród niemilkających oklasków zebranych. Wieczorne przyjęcie na 200 osób, liczne toasty i przemówienia zakończyły ów dzień, który był świętem polskiego przemysłu wojennego w Ameryce i polskiego robotnika. Panu Porańskiemu, którego "Tygodnik Polski" ma zaszczyt zaliczać do swych opiekunów i wszystkim pracownikom jego firmy — przesyłamy najserdeczniejsze powinszowania i życzenia dalszych sukcesów w tak ważnej pracy.

NAKAZ LOJALNOŚCI

W czasie nadawania komunikatów radiowych Anglik zwraca się do polskiego kaprala:

— Nie rozumiem was Polaków — przecież powinniście się zgodzić na ustępstwa. Nie byłoby wam tak źle! Mielibyście w każdym razie swój rząd, samodzielność, armję! To, że byłby wasz delegat w Moskwie — można jeszcze przeboleć! W najgorszym razie byłibyście siedemnastą republiką!

— Owszem, tylko pod jednym warunkiem! My chcemy być osiemnastą republiką!

— Osiemnastą? Dlaczego???

— Ponieważ związaliśmy się umową z Wielką Brytanią na śmierć i życie. Jeżeli Wielka Brytania zostanie siedemnastą republiką, my w godzinę później będziemy — osiemnastą...

NOWE PRZYSŁOWIE

... "wyszedł jak Badoglio na flocie".

CARNEGIE HALL W NEW YORKU
W DNIU 4 MAJA, WE CZWARTEK, O GODZ. 8.30 WIECZOREM
Dla uczczenia 143-ej rocznicy uchwalenia
Konstytucji 3-go Maja 1791 roku

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE

ma zaszczyt zapowiedzieć

FESTIVAL MUZYKI POLSKIEJ**ORKIESTRA NEW YORK PHILHARMONIC SYMPHONY**

pod dykcją

GRZEGORZA FITTELBERGA

SOLISTAMI BĘDĄ

BRONISŁAW HUBERMAN

WITOLD MAŁCUŻYŃSKI

Skrzypce

Fortepian

Bilety w cenie łącznie z podatkiem po dol.: 1.20, 1.80, 2.40 i 3.00 są do nabycia w kasie Carnegie Hall. "Mail orders" prosimy kierować do Steinway Hall Box Office, 113 West 57 Street, New York City.

TITO

Kim jest Tito? Niektórzy, w swoim czasie, przypuszczali, że to skrót słów:

Trietaja Internacjonalnaja Tieroristiczeskaja Organizacja.

Było to zanadto skomplikowane i obecnie znaleziono nowe, bystre tłumaczenie. Otóż tajemniczy wódz mówi ponoć nieodmiennie do swych podwładnych — po "chorwacku":

— Ti to zdiełajesz...

Stąd proste — Tito!

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

William Guthrie, pisał w połowie 17go wieku:

"Niemcy są z natury prawdomównym, dobrodusznym i poczciwym narodem, ceniącym wolność ponad wszystko. Niemcy nie mają talentów wojskowych, ale są dość odważni i pod dowództwem włoskich generałów mogą się zdobyć na pewne osiągnięcia".

Nie można powiedzieć, by nasz podróżnik był dobrym obserwatorem...

O CO WALCZYMY?

Ogłoszenie Austin Reed'a, największej londyńskiej firmy ubraniowej:

"Przywrócono mężczyznom prawo szycia sobie dwurzędowych marynarek, normalnej ilości kieszeni i spodni z mankietami. To przedsmak wolności o którą walczymy..."

Z LEGEND ANGIELSKICH

Mr. Thawik opowiada taką, ścinającą krew w żyłach, historię z ostatniego Bożego Narodzenia:

— Przyjechałem do zamku, a że nie boję się duchów, więc dano mi pokój w narożnej baszcie. Wieczorem, zdjąłem mą czarną perukę, powiesiłem ją na krześle i poszedłem do łazienki. Drzwi do mego pokoju zatrzasnęły się z okropnym łoskotem. Nie mogłem ich otworzyć. Przespałem noc na sofie, w salonie.

Rano, gospodarz dał mi wytrych. Wszedłem do pokoju i zobaczyłem, że moja peruka kompletnie osiwiła!

SZCZĘŚLIWIEC

W czasie jednego z malotów na Londyn, bomba trafia w domek, w którym mieszka 75-cio letni mr. Brown — staruszek głuchy od urodzenia. Bomba rozrywa domek i niszczy doszczętnie zabudowania. W kilka minut po wybuchu zjawia się straż pożarna. Strażacy usuwają rumowisko i nagle stają jak wryci. W małej, nienaruszonej ubikacyjce siedzi mr. Brown. Śmieje się, jak gdyby nic się nie stało.

— Dlaczego Pan się śmieje — pytają strażacy.

— Bo... bo... pierwszy raz w życiu coś podobnego mi się zdarzyło. Pociągnąłem za sznurek i dom się zawałił...

ZNAK CZASU

Na ekranie przed rozpoczęciem filmu, ukazuje się takie zapewnienie:

"Potrawy, napoje, ubranie i buty widoczne w tym obrazie są całkowicie imaginacyjne i nie mają nic wspólnego z dzisiejszymi potrawami, napojami, ubraniami i butami. Wszelkie podobieństwo jest czysto przypadkowe."

W LONDYŃSKIM "TIMES'IE"

"W piękną sobotę 1940 roku, dwaj zmęczeni oficerowie dotarli na tor wyścigowy w Salisbury. Nie mieli na sobie prócz zbrukanych mundurów. Wszystkie ich rzeczy przepadły w Dunkierce. Wylądowali w Anglii przed paru godzinami i za pożyczone 10 sh. dojechali do Salisbury. Byli nietyle szczęśliwi, iż wydostali się cało z Francji, z pod bomb niemieckich, ile z tego, że jednak zdążyli na wyścigi. Byli głodni, spragnieni, wyczerpani, ale narazie chcieli tylko jednego, mianowicie — zobaczyć czy ogier "Owen Tudor" wygra trzeci bieg!"

I cóż dziwnego, że tego dnia w "Daily Express'ie" jest tytuł na trzy szpalty:

"Bywalcy wyścigów obawiają się, że inwazja na Europę może zepsuć sezon".

Serdeczne Życzenia
WESOŁEGO ALLELUJA

zasyła

**SPÓŁKA
WYDAWNICZA**



142 GRAND STREET
BROOKLYN, N. Y.

Telefon Evergreen 8-3560

JAN A. PATERACKI
Z RODZINĄ

powiększoną o tegiego wnuka,
Jana Paterackiego III, przyszłego
marszałka Parady Pułaskiego
w Nowym Jorku

zasyła

SERDECZNE ŻYCZENIA
WIELKANOCNE
CAŁEJ POLONJI

**Franciszek Jan
WAZETER**

ADWOKAT

1 PARK PLACE
NEW YORK CITY

Z RODZINĄ

zasyła Polonji

najserdeczniejsze
życzenia Wielkanocne

WESOŁEGO ALLELUJA

życzy Polonji Firma

**CENTURY
MACHINE TOOL CO.**

423 KENT AVENUE

Brooklyn, N. Y.

Kupujcie bondy wojenne Stanów Zjednoczonych
dla zapewnienia zwycięstwa Stanom Zjednoczo-
nym, Polsce i Zjednoczonym Narodom.

Spełniając swe obowiązki obywatelskie
zapewnicie ludom świata

WOLNOŚĆ, NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJĘ

DAL, INC.

17 STATE STREET
NEW YORK CITY

Tel. WOrth 3-5570

zasyła

SERDECZNE ŻYCZENIA
WIELKANOCNE
POLONJI

**ZENOBJA I BOLESŁAW
ROSALAKOWIE**

zasyłają

ŻYCZENIA WIELKANOCNE

wszystkim słuchaczom jedyne
wieczorne polskiego programu
radjowego ze stacji WBYN

RODZINA STRUMIŃSKICH*zasyła*

Serdeczne Życzenia Wielkanocne

*wszystkim odbiorcom, przyjaciółom i Polonii***NEW WARSAW BAKERY CO., INC.****585 Manhattan Avenue****Brooklyn, N. Y.****Wesołego Alleluja***życzy*Kolegom, Koleżankom
i całej Polonii**JÓZEF KLIMEK**Komendant Okr. 2go
Stow. Weteranów
Armji Polskiej*Z okazji świąt, w gronie rodziny i przyjaciół, pamiętajcie o Funduszu Domu Żołnierza Polskiego w New Yorku.*WSZYSTKIM ZJEDNOCZENCOM ORAZ CAŁEJ POLONJI
NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA**WESOŁEGO ALLELUJA***zasyła*NAJWIĘKSZA POLSKA ORGANIZACJA
NA WSCHODZIE**155 Noble Street, Brooklyn, N. Y.****ZARZĄD CENTRALNY**Walter J. Bayer, Cenzor
L. V. Mianowski, Wice-Cenzor
Ks. Józef Tencza, Kapelan
Jan Smoleński, Prezes
Stanisław Marchiel, Wiceprezes
C. Durska, Wiceprezeska
E. J. Brachocki, Kasjer
J. A. Głowacki, Sekrearz Generalny
Z. F. Sarnowski, Adwokat
A. S. Patlen, Adwokat na N. J.**DYREKTORZY**Jan Jurek
Lucjusz Kajko
M. Przybyszewska
Józefa Bagińska
Karolina Głogiewicz
J. F. Dec
W. Marut
W. Marut
Józef Nowicki
M. Nowak
Dr. L. Grycz, Nacz. Lekarz**CENTRALA POLSKO AMERYKAŃSKICH
TOWARZYSTW W NEW YORKU****19 ST. MARKS PLACE, NEW YORK CITY***zasyła*

wszystkim Organizacjom, Towarzystwom i całej Polonii

ŻYCZENIA WIELKANOCNE**RADIOSTACJA****W H O M****29 WEST 57 STREET
w NOWYM JORKU***zasyła***SERDECZNE ŻYCZENIA
WIELKANOCNE**

swym radjosłuchaczom

FIVE DAY WONDER COURSEOd poniedziałku do piątku —
po dwie godziny dziennie. —
Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania
twarzy i ciała. — Jak się nale-
ży czesać. — Jak się ubierać,
by wyglądać skromnie i ele-
gancko.

Telefonujcie lub piszcie:

HELENA RUBINSTEIN**715 — 5ta AVENUE
New York City**

Tel. Eldorado 5-2100

Serdeczne Życzenia

WESOŁEGO ALLELUJA

składają Polonji

IGNACY, PAWEŁ I MACY
NURKIEWICZE

właściciele firmy

UNION STOP-FIRE CORP.

30 Fourth Avenue Brooklyn, N. Y.

*Oby Święto Zmartwychwstania Pańskiego zjednoczyło
nasze myśli i wysiłki ku zwycięskiemu zakończeniu
wojny, wygraniu pokoju i osiągnięciu Wolnej,
Niepodległej i Demokratycznej Polski!*

Wszystkim Członkom i Członkiniom Z. N. P., Młodzieży
Związkowej, Wiel. Duchowieństwu, Bratnim Polskim
Organizacjom, Kupiectwu Polskiemu, Prasie Polskiej
i Wogóle Całej Polonji Amerykańskiej

WESOŁEGO ALLELUJA
życzy
ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI
1514-20 W. Division Ul., Chicago, Ill.

ZARZĄD CENTRALNY

Karol Rozmarek Prezes
P. Kozłowski, Wiceprezes
Franciszka Dymek, Wiceprezeska
A. S. Szczerbowski, Sekr. Jen.
M. Tomaszekiewicz, Skarbnik

DYREKCJA

Aniela Wójcik
Józef F. Wattras
Józef K. Gronczewski
Karolina Spisak
Stanisław E. Basłński
Józef J. Józwiak
Jakób Rekucki
Janina Migala
Jan Uatowski
Franciszek J. Wróbel

Dr. W. A. Salek, Lekarz Naczelny

RADA NADZORCZA

F. X. świetlik, Cenzor
M. Powicki, Wicecenzor
KOMISARZE
F. Furtek, Okręg 1-szy
S. Niedźwiecki, Okręg 2-gi
J. Rudek, Okręg 3-ci
J. P. Nowak, Okręg 4-ty
E. P. Kozmor, Okręg 5-ty
H. Dudek, Okręg 6-ty
F. Lankowski, Okręg 7-my
M. L. Hołodnik, Okręg 8-my
J. Habuda, Okręg 9-ty
S. Sudek, Okręg 10-ty
J. Słodkiewicz, Okręg 11-ty
J. Wójcik, Okręg 12-ty
M. Turbak, Okręg 12-ty
M. Turbak, Okręg 14-ty
J. T. Tabela, Okręg 14-ty
W. Fabiszewski, Okręg 15-ty
W. Daniszewski, Okręg 15-ty

KOMISARKI

Pelagia Łukaszewska, Okręg 1szy
Anna Tuman, Okręg 3-ci
Anna Petyk, Okręg 8-my

KUSZĄCE USTA



dzięki

POMADKOM DO UST
Heleny Rubinstein

Aksamitna miękkość, młodzieńczy połysk, trwała świeżość, kolor wspaniały — to wszystko w słynnych pomadkach do ust Heleny Rubinstein!

APPLE RED — jasna, wesoła czerwień dla blondynek

COCHINELLE — egzotyczny, różowo-czerwony dla brunetek

RED VELVET — głęboka, tajemnicza czerwień na popołudnie lub wieczór

Cena 83c i \$1.10
wraz z podatkiem

Helena Rubinstein

POLISH DEPARTMENT

715 Fifth Ave., New York City

POLISH WEEKLY

Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publisher:
„Tygodnik Polski”

Editor:
JAN LECHOŃ

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—\$3.50 Yearly—\$7.00